

wałem ją, pieściłem, kiedy była mała. Trudno wychować lwa. Ale ona przywiązała się do mnie, jak pies. Nie miałem już nikogo, czułem, że się starzeję i powiedziałem sobie: „Mam wreszcie stworzenie, co mnie kocha”. Gdybym był wiedział!!

Ale mężczyzna nie może się obejść bez kobiety, to też za chwilę uciechy z jakąś Mercedes z ulicy i za talerz zupy od jej matki wzięłem na swoje barki dwie kobiety, które widziałeś pan u mnie: młodą — ładną i starą, jej mamcię.

Słowo „mamcia” wymówił tonem nie wypowiedzianej wzdargy.

— Lea miała wówczas dwa lata. Nie może pan sobie wyobrazić, ile sztuk umiała jaka była łagodna i dobra! Nie dostawała batów, jak dziś, biedaczka; nigdy nie dotknąłem szpicrutą jej sierści i mówiłem do niej: „moja córko”. Warto było ją widzieć tarzającą się u moich nóg, stającą na tylnych łapach z przednimi na moich łopatkach, lizająca mi twarz swym szorstkim językiem, udającą gniew dla zabawy, albo pozwalającą mi włożyć głowę do pyska. I wszystko to bez krzyków, bez piki i rewolwerowego strzału, ruchami kobiecemi z miauczeniem i miłym pomrukiem. Miałem, bo miałem, dzięki niej wieczory triumfów!

Barka westchnęła głęboko i jakgdyby się zgiał, postarzał, w ciągu kilku sekund w moich oczach.

— Kiedy się ożeniłem — ciągnął dalej głosem słabszym i nie patrząc na mnie — wszystko się odrazu zmieniło. Trzeba panu wiedzieć przedewszystkiem, że Lea niechętnym okiem powitała Mercedes. Z pyskiem otwartym i rykiem wyciągnęła na jej widok kosmatą łapę o wysuniętych pazurach; podczas kiedy Mercedes, śmiejąc się na całe gardło ochryplym głosem i przezywając ją obelżywymi słowami, drażniła się z nią i rzucała jej w nos kawałek kija lub kromkę chleba.

Moja lwica, panie, rozumiała ludzką mowę; wiedziała, że ma wroga w mej żonie.. Miała żal do mnie, swego przyjaciela, swego ojca o to, że wprowadziłem Mercedes do domu. Kiedy pierwszy raz potem, jak zobaczyła moją żonę, wszedłem do jej klatki, zrobiła mi formalną scenę zazdrości, panie! Nie poznawałem jej oczu, dobrych, złotych, śmiejących się oczu. Tarzała się po klatce, rycząc wściekłym ze złości głosem. Mogła była mnie dwadzieścia razy zabić, ale machała tylko tam i zpowrotem swą prawą łapą. Byłbym sobie jednak jakoś poradził z nią, gdyby Mercedes nie ośmieliła się po kilku dniach oznajmić mi, że chce wejść do jej klatki i nauczyć się poskramiania.

Spróbowałem namówić ją, żeby weszła gdzieś indziej, do hjen, do dużego czarnego lwa z Nubji, którego miałem podówczas: Solimana, lwa głupiego do roboty, uparte-go i silnego. Poszła, owszem, odważnie, śmiało z piką w rękę, patrząc bestjom pro-

sto w oczy, jak na prawdziwą pogromczy-nię przystało, ale nie zadowoloniła się tem i pewnego dnia musiałem wreszcie obu megerom ustąpić i wpuścić żonę do klatki Lei. Rzuciła się natychmiast na lwice zwinnie, lekko, mierzając ją twardem spojrzeniem i zabezpieczając sobie tyły. Biedna Lea patrzyła na mnie, zmuszonego bro-nić Mercedes, wzrokiem pełnym rozpacz-y, rycząc przytem groźnie i żałośnie zara-zem.

Po kilku zaledwie lekcjach Mercedes u-jarżmiła Leę i zaczęła występować z nią publicznie, obchodząc się z nią szorstko brutalnie, wymagając skoków i sztuk wła-sciwych bestjom bitym, maltretowanym, pokornym aż do uniżenia, a kipiącym we-wnętrznem wzburzeniem. Ludzie szaleli, patrząc na to. Nie mogłem dłużej znosić takiego traktowania mojej „córki” i po-stanowiłem sprzedać Leę jednemu z moich kolegów po fachu, znającym rzemiosło i dobremu z kośćmi. Prowadziłem per-traktacje pocichu, a mimo to Mercedes zwąchała pismo nosem i podniosła gwałt.

Daremnie stawiałem jej tysiączne argu-menty przed oczy; że lwica starzeje się, że jest chora, skryta, że kolega daje mi do-brą cenę za nią... Wszystko napróżno. Musiałem ustąpić i zostawić Leę w mena-żerji. Przypuszczam zresztą, że umarłaby beze mnie.

\* \* \*

Rozumiałem dobrze, że taka młoda, pię-kna i pełna życia kobieta, jak Mercedes miała dość starego pocziwiny, którym za-czynalem już być. Dawala mi to zresztą wyraźnie do poznania stara, która ze swe go kąta gwizdała mi raz po raz piosenkę:

„Za stary dla takiej urodziwej dziewczki. Za stary. Dobry dla mnie!”

I wybuchała śmiechem.

Otóż pewnego dnia Mercedes oznajmiła mi, że nie może sobie sama dać rady, że mamy dwie bestje więcej i tak dalej, i tak dalej i że dlatego wynajęła sobie chłopca do pomocy.

Zobaczmyż tego chłopca!

Jakiś Lewantyńczyk o twarzy żółtej, małym wąsik, fałszywych oczach i leni-wych ruchach. Co miałem na to powie-dzieć? Wiedziałem zresztą, że jak nie ten, to inny. A zresztą jest Lea. Ja mam swo-ją Leę i kwita!

Kiedy dość miałem pilnowania czulej na-ry, szedłem do klatki Lei i szeptałem jej do ucha moje skargi męża z rogami. Należy przypuszczać, że rozumiała mnie, bo pew-nego dnia kiedy Lewantyńczyk z małym wąsikiem czyścił jej pustą klatkę, a ja zo-stawiłem z umysłu — człowiek się mści, jak może, mój panie — drzwi od zapasowej klatki niedomknięte, Lea nagle rzuciła się nań i obaliła na ziemię.

Ach! Krzyk zdraycy! Jaka radością napawał mi duszę!

Ale Mercedes już była przy nich, dżgając Leę piką i uwalniając swego chłopca.

— Sam będziesz czyścił jej klatkę! — oznajmiła mi.

— I owszem, moja piękna i sam będę z nią występował — odparłem.

W obawie o kochanka, Mercedes nie stawiała oporu. Mielishny tedy z Leą znova: dobry okres w naszym życiu, pracowałem z nią i byłem zadowolony aż do chwili...

Przewał sobie, potrząsnął głową i ciągnął dalej:

— Człowiek jest tylko człowiekiem. Póki nie widziałem... Stara ich pilnowała zazwyczaj swoim fałszywym wzrokiem cy-ganki i gruchali sobie spokojnie za swoją warta ale trzeba trafić, że tego dnia właśnie stara była chora i leżała w swoim namiocie. Bestje pomrukiwały w swoich klatkach, umieszczonych na ziemi pod wspólnym namiotem. I tam właśnie nawprost klatki Lei czuła para schroniła się przede mną.

Nie powinienem był ruszać się z miejsca — powiesz pan — machnąć ręką, zam-knąć oczy! Zapewne! Ja jednak pobiegłem, myśląc, że może Mercedes dręczy je-dyną moją przyjaciółkę.

Lewantyńczyk, zerwawszy się na równe nogi, wylekniony, stanął w kącie namiotu. Mercedes wpół naga, nie tracąc głowy, sta-nęła przede mną z wyzywającym spojrze-niem na ustach:

— No i co...? — rzuciła mi przez zę-by

Krew zalała mi mózg. Podskoczyłem do klatki Lei i gwałtownym ruchem podnosząc zasuwę, otworzyłem drzwi. Lwica wy-skoczyła z klatki.

— Och!

Ctoż wydal ten okrzyk. Ja zaś:

— Jego. Lea, jego!

I rzuciłem się przed Mercedes, która szukała broni dla ratowania swego chłopca; chwyciłem ją za gardło, a pięść mam mocną.

Lewantyńczyk zdążył zaledwie krzyknąć dwa razy „Och! Och!”. Jednym ude-żeniem łapy Lea zgruchotała mu ramię, drugim przejechała mu po twarzy; chłop zakrwawiony runął na ziemię, a lwica wściekła, mrużąc i bijąc o ziemię ogonem, wodziła pazurami po poszarpanych pier-siach i przeżuwała resztki twarzy kona-jącego.

To i była rzecz dopiero!

Przyglądałem się pogromcy Barca, któ-rego stara twarz promieniała i który sam wyglądał w tej chwili, jak rozjuszony lew, z łopatkami wzniesionymi do góry, głową i szczękami w ruchu. W piersi jego biło ser-ce bratnie serca lwicy Lei. Oboje poskra-miani i bici, święcili wówczas godzinę swej zemsty.

— Oto i cała historia — odezwał się pogromca po chwili, rozkładając ręce.

Wstałem i rozstaliśmy się na progę karczmny, obcy sobie nagle i. nieznanymi.

Skróc. i tłum. Jotsaw.



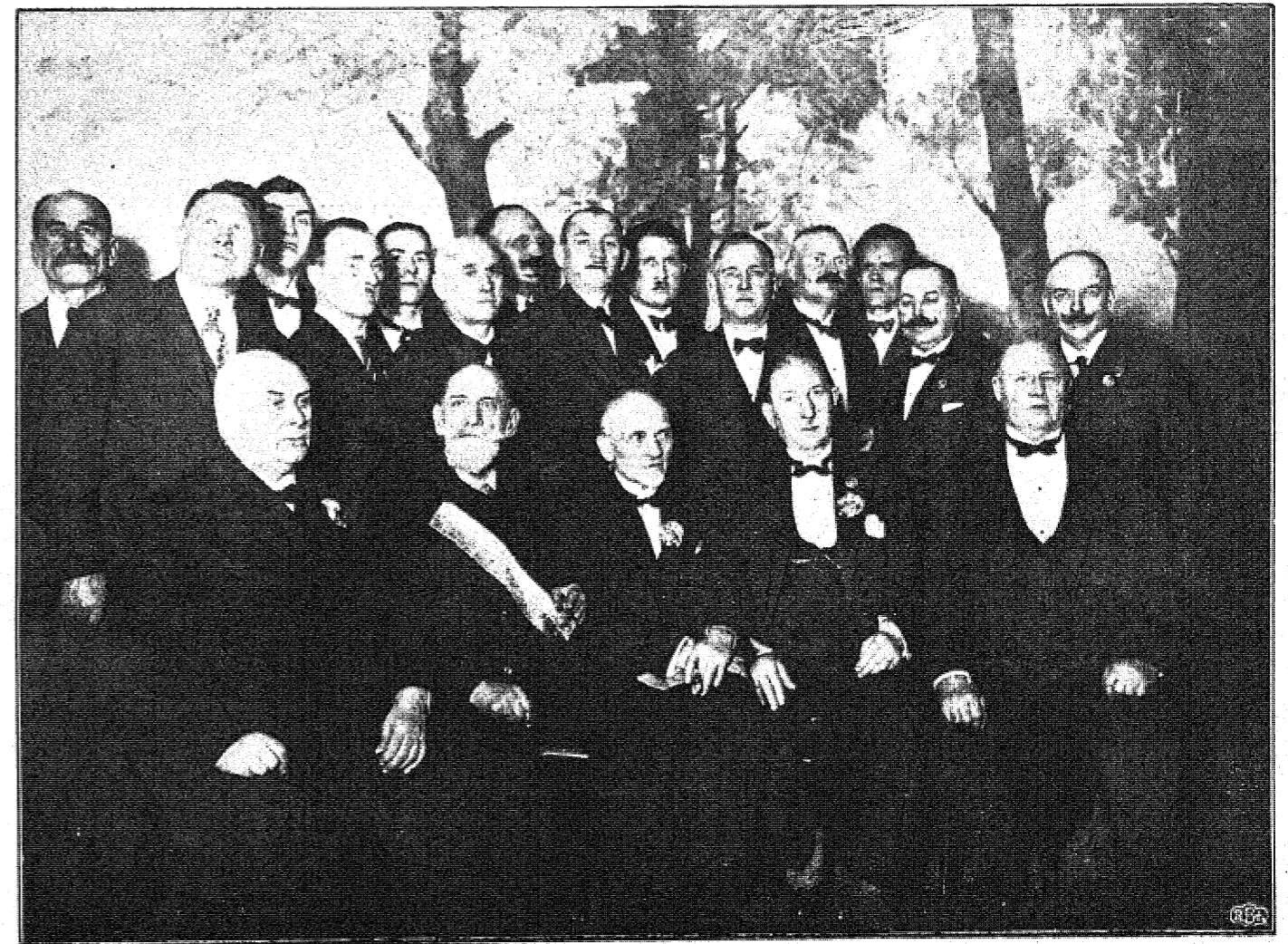
DODATEK NIEDZIELNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”

Rok VI.

Niedziela, dnia 27 stycznia 1929 roku.

Nr. 4.

## Na straży rzemiosła polskiego.



W dniu 20 stycznia r. b. Łódź rzemieślnicza święciła niezwykłą uroczystość. Cech Mistrzów Malarzy i Lakierników obchodził 50-letni jubileusz swego istnienia. Powyżej zarząd cechu ze swymi najstarszymi wiekiem członkami na czele. Fot. A. Mayer.



## TEATRALIA.

Premjery warszawskie. — „Lotnik Ramper“ Konkurs krakowski. Drobiazgi teatralne.

Teatr Narodowy zakończył rok stary wystawieniem świetnej komedji Wilde'a — „Brat marnotrawny“. Oglądaliśmy ją parę tygodni zaledwie na scenie naszego Teatru Kameralnego, ta więc okoliczność zwała nia kronikarza od obowiązku obszerniejszego komentowania mądrego, miłego i dewotnego — scenicznego cacka pióra autora „Salome“. Tryskający fontanną paradokсів dialog, pogoda i wesołość nastroju nie zamoczonego jeszcze tragedją murów więziennych, inteligentny, wyostrozony dowcip o niezrównanej wprost półmiej — te pierwszorzędne zalety „Marnotrawnego brata“ czynią zń utwór szczególnie sympatyczny. Z zadowoleniem też powróć tego „Marnotrawnego brata“ przyjęła Warszawa (komedję Wilde'a grano cngis p. t. „Borbant“) tem bardziej, że w głównych rolach prawdziwej rozkosznej komedji Wilde'owskiej wystąpiły trzy takie asy, jak pp. Solska, Osterwa i Węgrzyn.

Teatr Wielki we Lwowie wystawił sensacyjną i efektowną trzyaktową sztukę Mksa Mroza p. t. „Lotnik Ramper“. Jest to niezwykła historia człowieka, w którym kłkunastoletni samotny pobyt na dzikim, odludnem wybrzeżu Grenlandji, zabił czy raczej stłumił wszelkie cechy człowieczeństwa. Lotnik Ramper, po odnalezieniu go w postaci zwierzęcia o niektórych tylko zewnętrznych czysto cechach ludzkich, staje się obiektem eksploatacji ze strony przedsięwzięwców cyrkowych, pokazywanym za pieniądze żądnym niezwykle wróżki widzom. Pewien znakomity psychiatra, ze względów humanitarnych i naukowych postanawia wydobyć Rampera ze stanu zwierzęcości; miłość żony lekarza, Normy, ku pozbawionemu ludzkiego „ja“ jest wielce pomocną usiłowaniom i zabiegom medycznymi. W budzącej się ponownie do świadomego życia psychice Rampera narastać poczyna konflikt: tęsknota za bezmiarą indywidualnej swobody wśród lodowych pól Grenlandji, za egzystencją wprawdzie zwierzęcą, ale właśnie wolną przez to od więzów nakazów i zakazów, tęsknota ta przesłańa mu nawet obraz pięknej i upragnionej Normy, poświęcającej wszystko dla dziwnego kochanka. Zwycięża jednak kobieta; Ramper przywrócony będzie społeczeństwu; wejdzie w nie i wrośnie zpowrotem, wchłonię w siebie wszystkie bóle i troski więzionego w zbiorowości indywidualum i trwać będzie — jak wszyscy inni.

Oryginalna, choć nie wolna od przejaśkrawień i konstrukcyjnych niekonsekwencji sztuka Moora, wystawiona została we Lwowie bardzo starannie. Wśród wykonawców p. Strachocki w roli tytułowej zyskał sobie powszechne uznanie.

Dzieje krakowskiego konkursu na sztukę teatralną, zorganizowanego przez dyrekcję sceny tamtejszej, rozległy się echem rzadkiego skandalu po całej Polsce. Różne bo u nas bywały konkursy i różne metody jurorskie, — nie zdarzyło się jednak bodaj



„Baśka o szczęśliwym człowieku“ — obraz art. mal. Antoniego Michałaka w Miejskiej Galerii Sztuki w Łodzi.

nigdy, by — jak to ujawniono w Krakowie — nazwiska autorów sztuk nagrodzonych „zawczasu“ znane były sędziom, czy raczej pewnej ich części, — by w ostatniej chwili powiększano nawet liczbę sędziów dla umożliwienia przeprowadzenia nagrody dla jednego z faworytów. Jest to tem bardziej dziwne i nieoczekiwane, gdy zważymy, że osoba tego faworyta, zarówno jak jego dzieło konkursowe, nie zdają się zasługiwać na specjalne względy, — raczej wprost przeciwnie — mając na uwadze przykrą tendencję owej „gwałtem“ nagrodzonej sztuki. W rezultacie, drugi z nagrodzonych, p. Goetel, zrzekł się przyznanej premji, trzeci zaś, o którego właśnie kruszono kopje, p. Nowaczyński, wspominalo myślnie ofiarował swą nagrodę (w szczególny sposób otrzymaną) na schronisko dla aktorów. Pozostał na placu pierwszy laureat, p. K. H. Rostworowski, którego „Niespodzianka“ wywołała bardzo gorące oceny wszystkich nie mał, zgodnych w tym wypadku członków jury.

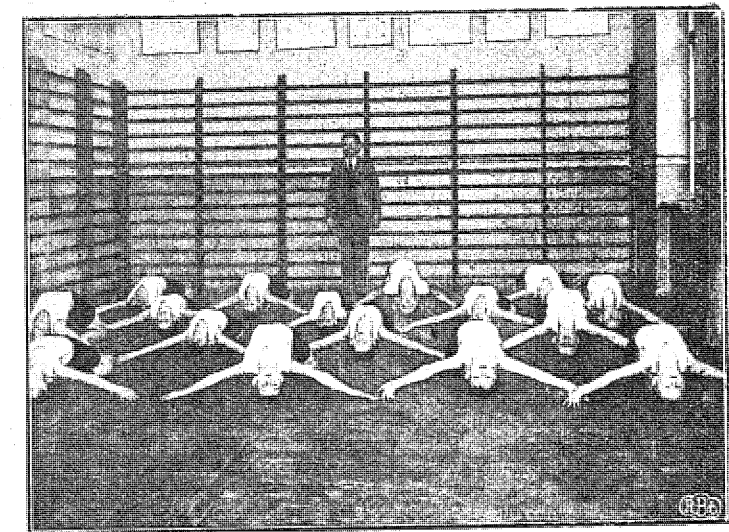
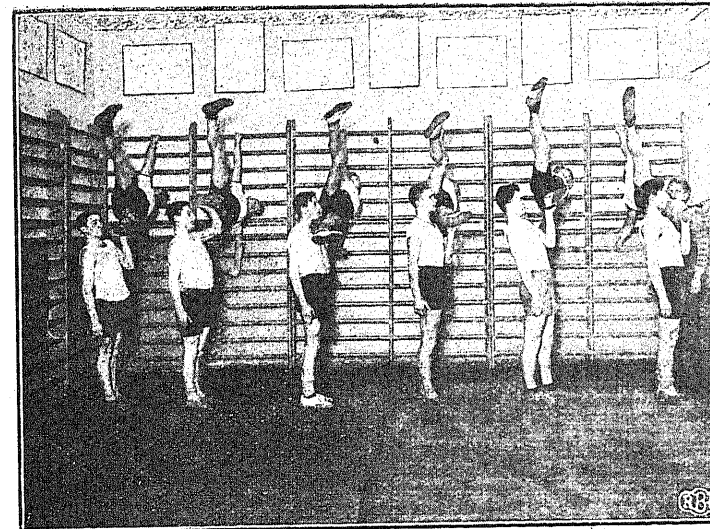
Sprawa krakowskiego konkursu nie jest dotychczas zamknięta. Mówią o całkowitem unieważnieniu wyroku, o dymisji p. dr. Nowakowskiego z dyrektorskiego stołca, za zbyt gorliwe i widoczne popieranie sztuki p. Nowaczyńskiego i jakieś zakulisowe z nim konszachty. Obiektywnie oceniając pion konkursu, trzeba przyznać, iż jest on bardzo ubogi. Z nadesłanych bowiem osiemdziesięciu przeszło sztuk, przynajmniej

9/10, jak twierdzą wtajemniczeni, należą do rzędu — grafomańskich, kilka zaś zaledwie czyni zadość elementarnym wymaganiom kultury i techniki teatralnej. Wynik tem nie może być niespodzianką ze względu na dawne zatargi dyr. Nowakowskiego z Warszawskim Związkiem Autorów Dramatycznych, który konsekwentnie bojkotuje wszelkie zamierzenia i imprezy, podejmowane przez dyrekcję teatru krakowskiego. Do czego doprowadzić może w praktyce podobne zadrażnienie wzajemnych stosunków, o tem poucza dokładnie właśnie przebieg omawianego konkursu oraz jego moralne i materialne wyniki.

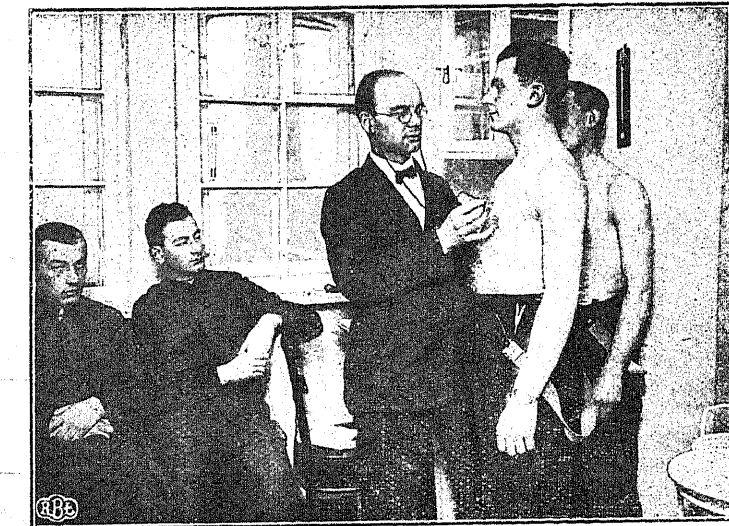
Niedawno wspominaliśmy, że sędziwy Bernard Shaw, uległszy namowcom Poli Negri, zgodził się na sfilmowanie głośnej swej komedji „Cezar i Kleopatra“. Jak domośz z Paryża, sztukę tę wystawił niedawno w swym teatrze Pitojew, grając wraz z małżonką tytułowe role. Pomimo, że Shaw nie cieszy się wśród krytyków i publiczności francuskiej szczególnymi sympatjami, musiarno jednak „Cezarowi i Kleopatrze“ przyznać niebyłejakie walory, a komedja cieszy się dużem powodzeniem.

Delta.

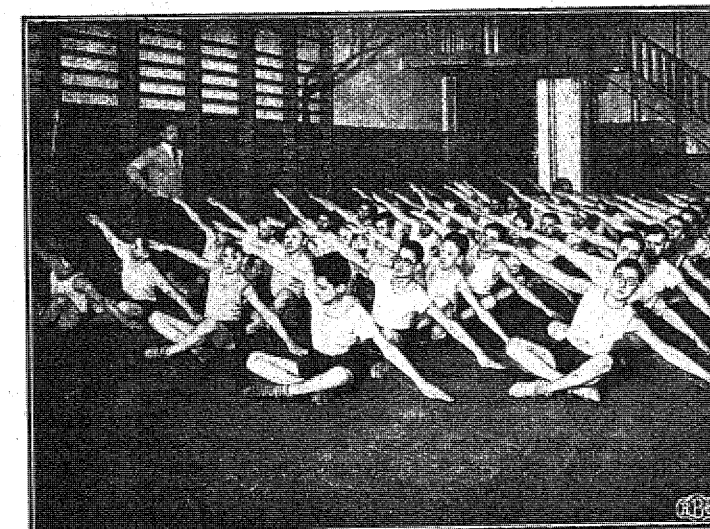
## W trosce o zdrowie młodzieży.



Dyrekcje szkół średnich w Łodzi zwracają szczególną uwagę na rozwój nie tylko intelektualny młodzieży lecz poświęcają wiele czasu na fizyczne jej wychowanie. Powyżej widzimy fragmenty fizycznej zaprawy młodzieży męskiej znanego w Łodzi gimnazjum A. Zimowskiego. W głębi kierownik wychowania fizycznego p. Eustachy Krak.



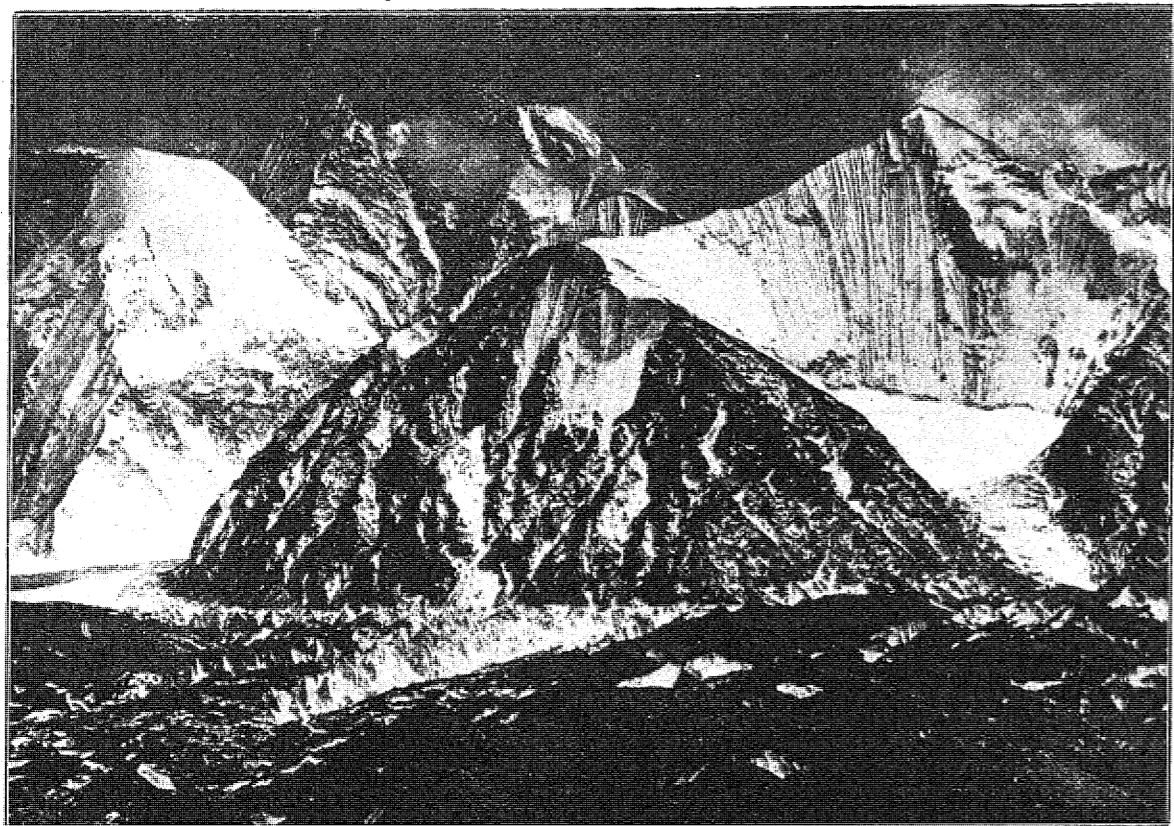
Oto jak nasza młodzież szkół średnich kształci się na wzorach obywateli kraju w gimnazjum A. Zimowskiego w Łodzi. Na lewo nauka botaniki, na prawo opieka lekarska nad młodzieżą. Fot. A. Mayer.



Wychowanie fizyczne w 8-klasowym gimnazjum Wiśniewskiego w Łodzi. Na zdjęciu fragment ćwiczeń gimnastycznych. Fot. A. Mayer.

Walka z gruźlicą wśród dzieci. Powyżej stacja tuberkulinowa Sekcji do Walki z Gruźlicą.





Chlubą współczesnej kinematografji, dziełem nieustraszonych podróżników - operatorów jest film „Mont Everest” zrealizowany w czasie ostatniej ekspedycji naukowej. Powyżej fragment tego niebywale ciekawego filmu, przedstawiający podoboczną krainę skał.



Kinoteatr „Capitol” w Łodzi wyświetla film p. n. „Bandyta” z Rod la Toque i Lupe Velez w rolach głównych. Na zdjęciu fragment z tego filmu.



Grupa znanych gwiazd filmowych.



Królowa filmu polskiego, Jadwiga Smosarska, wraz ze swym partnerem Jerzym Marem.



Pierre Blanchar, odtwórca postaci naszego nieśmiertelnego mistrza tonów w filmie „Miłość i lzy Szopena” wyświetlanego w kinoteatrze „Casino” w Łodzi.



Carpentier trenuje do... kabaretu.

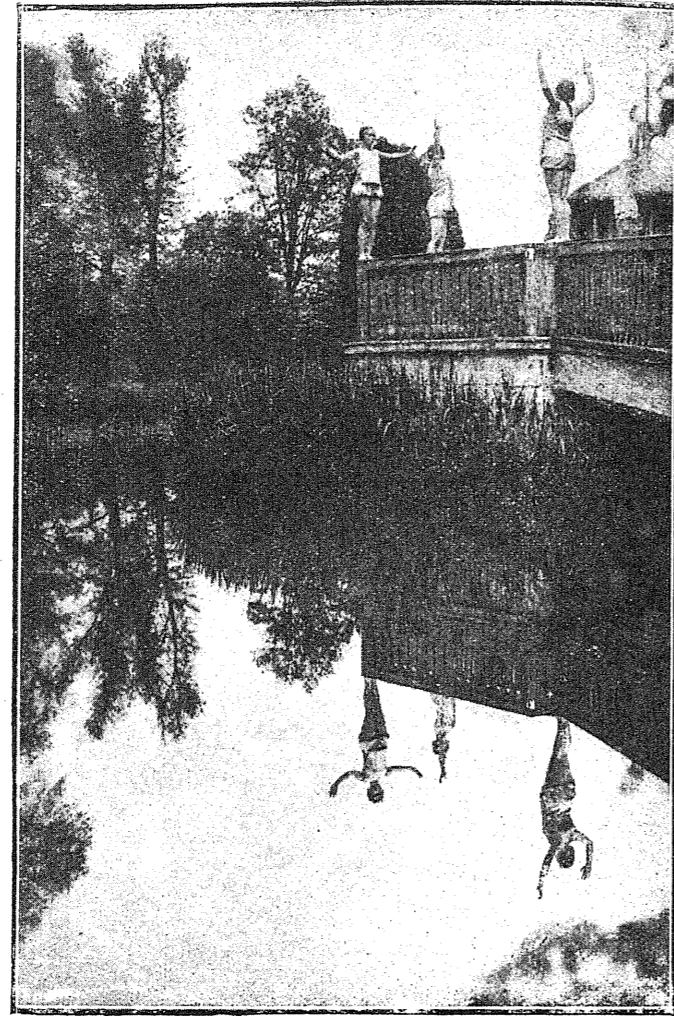


Scena z filmu „Dziecię Francji” zrealizowanego przez wytwornię paryską.





Teresa Peltier, pierwsza w świecie pilotka.



Żywe rzeźby w parku Luxemburskim.



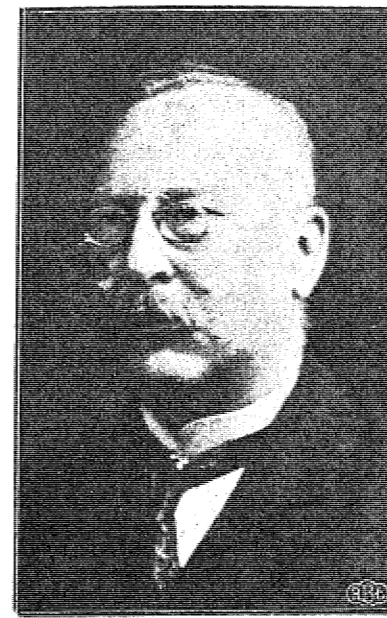
P. Kathen Paulus ze spadochronem.



Kpt. Jan Baran, wszechstronny sportowiec polski.



Jerzy Zabielski, czołowy szermierz Polski.



Znany w szerokich kołach Łodzi dependent notarialny ś. p. Stanisław Pstrągowski, zmarły w b. miesiącu.



Walne zgromadzenie członków Ligi Morskiej i Rzecznej w Łodzi w lokalu własnym przy ul. Pictrkowskiej Nr. 92.



Walka z gruźlicą w Łodzi. Stacja światłolecznicza — naswietlanie lampami kwarcowymi.



Ostatnia przedśmiertna kreacja mistrza sceny polskiej, ś. p. Kazimierza Kamińskiego.



Dziewczę z Biskry tajniuje twarz.



Dziewczę z Algieru ozdabia uszy.



Beduinka z Tunisu zasłania twarz.



G. LENOTRE.

## Akt namaszczenia królewskiego. (Na marginesie historii).

Kiedy Ludwik XVI przybył do Reims 9 czerwca 1775 r. na uroczystość swego namaszczenia, biedny król, dość niezręczny, nieco nieśmiały, nie lubiący i obawiający się pompy i wystawnych parad, zmiarkował odrazu, jaki będzie ogrom męki, której miał być poddany.

Przy rogatkach miejskich wyciągają monarchę z powozu, w którym podróżował od Compiègne i wsadzają go do pięknej, oszklonej karocy, wybitej wewnątrz szkarłatnym jedwabiem i zaprzężonej w osiem koni, strojnych we wspaniałe kapy i pióropusze.

Ołbrzymi orszak sumie wślada za pojazdem królewskim, przy odgłosie fanfar, bębnow, salw i dzwonów poprzez tłumy ludności, chciwiej widoku władzy.

Dnia 11-go czerwca o godzinie 6 z rana uroczystość rozpoczyna się: dwaj prałaci, poprzedzani przez chłopców z chóru, niosących palące się świece w ręku, przez dwa rzędy kanoników, muzykę stolicy arcybiskupiej i dwóch katedralnych organistów, idą procesją po króla do pałacu arcybiskupiego, gdzie zamieszkał. Czy spał w nocy? Rzecz wątpliwa. W danej chwili, odziany w sutannę ze srebrnego sukna, w beret z czerwonego aksamitu o trzech rogach, zdobny w pęk białych piór, z pośród których wystrzela czapla kita, leży wyciągnięty na łożku w otoczeniu wszystkich dostojników swego dworu we wspaniałych kostjumach.

Drzwi są zamknięte. Starszy organista uderza w nie swą pałką. Z zewnątrz rozlega się głos wielkiego szambelana dworu:

„Czego chcecie?”

„Króla”.

Głos odpowiada: „Król śpi”.

Po kilku chwilach starszy organista stuk w drzwi powtórnie; to samo pytanie i wślada za nim ta sama odpowiedź. Stukając za trzecim razem, starszy organista precyzuje: „Chcemy Ludwika XVI, którego Bóg nam dał za króla”. Drzwi się otwierają natychmiast; dwaj prałaci, zbliżywszy się do monarchy, podnoszą go z łożka i stawiają na nogi.

Orszak królewski tworzy się: stu szwajcarów, halabardnicy, oboiści, bębny, trąby, flety i piszczałki, heroldowie, szambelanie, rycerze Świętego Ducha, kamerjunkerzy, gwardziści, wszystko to w złocie, srebrze, koronkach, aksamitach, jedwabiu.

Jakież to piękne!... w opisie przynajmniej; w rzeczywistości bowiem niejedno oszpeca tę czarodziejską wizję: król jest małego wzrostu; przedwczesna otyłość czyni go ociężałym; idzie, kołysząc się na nogach; jego powieki są ciężkie, nos grubo, wargi również. Trzeba by tu księcia z bajki, bezcielesnego niemal i promiennego, jak jakiś Messjasz...! Pomiedzy jego eskortą dużo jest starych, zmiedolężniałych me-

zów: M. de Clermont-Tonnerre, konetabl, czyli naczelny wódz, ma 86 lat; dwaj okazali woźni pilnują jego chwytliwych kroków. Zachodzi obawa, czy wytrwa do końca swej ciężkiej powinności?

Mniejsza o to! Tłum z otwartymi ustami przygląda się feerycznej defiladzie i nie jeden z obywateli, w ekstazie, zgina kolano, podczas kiedy orszak wchodzi do katedry, której odrzwia zamykają się za nim.

Ani marzyć o wyszczególnieniu wszystkich scen, przerażającej swym ogromem ceremonii: w ciągu pięciu godzin, króla rozbiierają, ubierają, rozbiierają, macają, szarpia, kręcą nim, jak manekinem. Musi położyć się plackiem na posadzce, wstać, ukłęknąć przed arcybiskupem, poddać namaszczeniu olejami świętymi kolejno: czoło, dołek brzuszny, plecy, prawą łopatkę, lewą łopatkę, stawy ramion, dłonie. Włożył tu miękę, dalmatykę, płaszcz i ciężką koronę Karola Wielkiego, która tak mu ciąży, że upadając niemal pod jej przemianem, skarży się: „Dolega mi!” Słowo tragiczne, które mu kiedyś przypomnia. Wnet jednak zamieniają królowi koronę sławnego przodka na inną, lżejszą i od brylantów lśniącą.

Wzamięn za to musi wziąć miecz tegoż Karola Wielkiego, słynny „Joyeuse” do rąk i trzymać go chwil kilka ostrzem do góry. Obuty w lekkie trzewiki aksamitne z ostrogami ze złołą, z berłem w ręku, w ciężkim włokącym się po ziemi płaszczu — trzydzięści stóp kwadratowych gronostaju i aksamitu, wyszywanego złotem — musi wejść na schody o czterdziestu stopniach, aby dostać się na zdobne we flagi i bandery wzniesienie, gdzie wolno mu usiąść wreszcie na tronie, bez oparcia i bez poręczy, symbolicznym, że monarcha nie potrzebuje podpory...

Jest to chwila uroczysta: katedra rozbrzmiewa fanfarami, hukiem armat, grzmiotem wielkiego dzwonu. Setki ptaków, puszczonych na wolność w kościele, wzlatują wylekłe pod sklepienia. Okrzyki: „Niech żyje król!” rozlegają się w starej katedrze, do której teraz lud wtargnął.

Wrażenie jest tak potężne, że królowa, prześlizgnięta w swej złoczonej trybunie wybuchu łkaniem, podczas kiedy wszyscy obecni w kościele biją oklaski, jak w teatrze.

Poczem nabożeństwo się rozpoczyna, a będzie długo trwało...

Ludwik XVI podczas całej ceremonii wzbudza współczucie. Ach, co dałby za to, żeby być teraz na polowaniu i wchłaniać balsamiczne powietrze leśne! Mimo usilnych starań, nie ma ruchów królewskich: krzywi łopatkę, kołysze się na nogach zamiast iść sprężysto i równo. Nic nie pomogły lekcje, które mu dawał — z rozkazu królowej — Gardel z opery! Duszą się w swych aksamitach i dalmatykach; poci się kroplami wielkimi; a mimo to nie mijają nigdy w swych ewolucjach bez końca trybuny, gdzie żona jego siedzi na tronie, bez obdziania jej dobrym uśmiechem...

Jest zresztą ze snu; albowiem, po ak-

cie namaszczenia, nie koniec inscenizacji; musi jeszcze wziąć udział w uczcie królewskiej, pokazać się w mieście w hucznej kawalkadzie, przewodniczyć w kapitulacji rycerzy Świętego Ducha i w szpitalu „dotknąć” 2400 skrofolicznych, czego dokona z godną podziwu sumiennnością.

Kiedy wolno mu będzie wreszcie zdjąć płaszcz paradny, zacierając ręce z radości, które boleć go będą przez całe 24 godziny jeszcze — włoży codzienny swój garnitur i pójdzie z królową pod rękę na spacer do lasku „Amour”, ulubionego miejsca przechadzek mieszkańców Reimsu.

Jakże młoda, piękna i przystępna jest królowa! Rozmawia z tłumem, który parę królewską otacza. Do każdego mówi: „mój pocziwoze”, „moja duszko”... U wielbiają ją...! Ludwik XVI zawodzi oczekiwania swych poddanych, znajdujących, że za mało jest dumny, niedość się wyróżnia od ciekawych, którzy się tłoczą, aby doń bliżej podejść.

„Ech! Co? To to jest król?”

Wielu dużo drogi zrobiło, żeby go zobaczyć. Oto młody chłopiec — lat szesnastu najwyżej, który przyszedł zdaleka, z Troyes piechotą, chodzi jeszcze do szkoły. Ubranie jego zapyłone, rysy zmęczeniem ściągnięte. Jest bardzo zresztą brzydki ze swą wargą przeciętą i czołem wypukłym. Zdaje się, że to on, zawiedziony, powiedział przed chwilą:

„Ech! Co? To to król?”

A kiedy Ludwik XVI, po przyjacielsku o imię go pyta, głosem zmienionym, ale już ostrym i silnym, odpowiada:

„Nazywam się Danton, do twoich usług, sire”.

Skróc. i tłum. Jotsaw.



Znakomity artysta zagranych oper, nasz rodak, Włodzimierz Kaczmar jako Mefisto w „Faustie”.



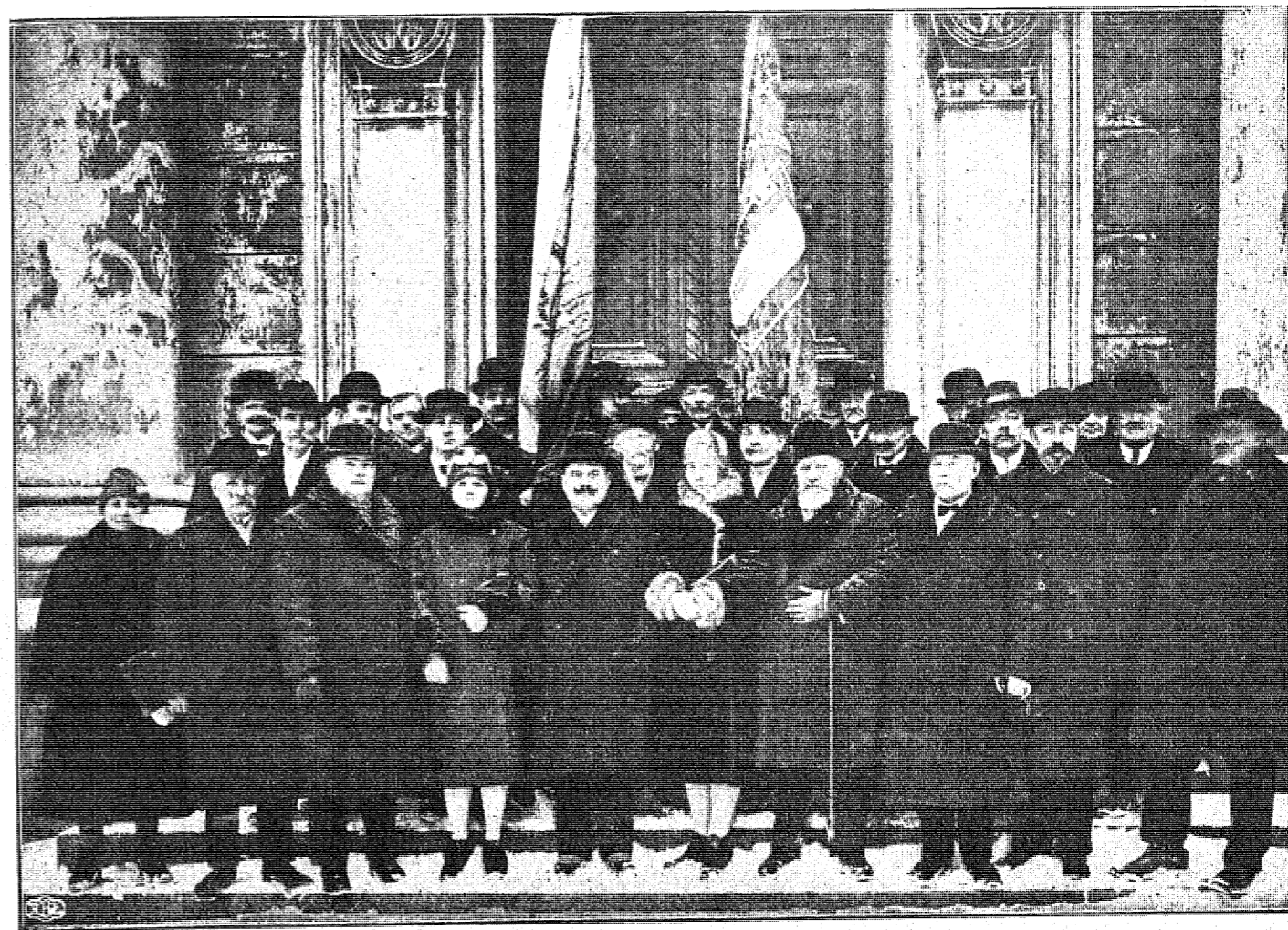
DODATEK ŚWIĄTECZNY DO „KURJERA ŁÓDZKIEGO”.

Rok VI.

Sobota, dnia 2 lutego 1929 roku.

Nr. 5.

## 110 lat na straży rzemiosła polskiego.



W ubiegłym miesiącu Cech Mistrzów Zduńskich w Łodzi, posiadający za sobą 110-letnią przeszłość odbył uroczystość związaną z poświęceniem nowoufundowanego sztandaru cechowego. Na zdjęciu powyższym widzimy przedstawicieli Cechu Mistrzów Zduńskich z zarządem i sztandarami na czele.

Fot. A. Meyer.